

Bombing, kidnap – no problem!

17 czerwca 2016

W tej chwili zawieszeni są w tymczasowości, której granic nie obejmuje horyzont. Jedynym pulsującym punktem przyszłości jest przeprowadzka do innego tymczasowego obozu w Grecji, bo wkrótce zaczyna się sezon turystyczny i zapewne władze będą chciały usunąć ich z widoku.

Ateny, połowa marca 2016. Od początku tego miesiąca w Grecji utknęło ponad 50 tys. osób, głównie obywateli Syrii, Iraku i Afganistanu, których migracja do kolejnych krajów Europy została zatrzymana przez zamknięcie granicy z Macedonią. Kilkanaście tysięcy ludzi koczuje w polu, przy macedońskiej granicy pod naprędcie wzniesionym murem z drutu kolczastego. Niektórzy są mniej lub bardziej pod przymusem przewożeni do pochowanych na odludziu tymczasowych obozów, w których brakuje podstawowej infrastruktury. Część osób nie może wydostać się z wysp, na które dotarli na małych pontonach topiąc w kieszeniach przemytników ostatnie oszczędności, a w wodzie nierzadko swoich bliskich. Sześć tysięcy osób, którym udało się dotrzeć do kontynentalnej Grecji koczuje w porcie, nie mając dokąd pójść.

Pierwszych uchodźców spotykam w centrum Aten, na stacji Omonia – grupa 5 osób: 2 dziewczynki, 2 młode kobiety i mężczyzna. Nie wyróżniają się niczym szczególnym, może poza chustami na głowach dziewcząt. Dopiero wypchane workowe plecaki z logiem organizacji humanitarnej nadają pewności moim przypuszczeniom. Czekamy na pociąg, który zawiezie nas do Pireusu – portu Aten, gdzie znajduje się jeden z wielu tymczasowych obozów uczestników exodusu.

W pociągu na razie jest tłoczno, obserwuję ich z daleka. Po kilku przystankach przerzedza się, zbliżam się, w końcu siadam na wolnym miejscu naprzeciwko kobiety i mężczyzny. On –

dwudziestoparoletni, o łagodnym uśmiechu, zadbana fryzura i zarost, smukła sylwetka, dopasowane dżinsy, lewy rękaw kurtki podwinięty powyżej łokcia, jego ramię też kończy się w tym miejscu. Siedząca obok niego dziewczyna ubrana w podobnym stylu – sportowe buty, dżinsy, bluza z misiem, na głowie chusta we wzory z H&Mu, na twarzy poparzenia pokrywające jej połowę. Obserwacje napędzają wyścig skojarzeń i dyskomfort ciekawości.

Zaczynam jednak rozmowę – że przyjechałam z Polski, jestem wolontariuszką, rozdałam wiele herbat zimą w Serbii, a teraz chciałabym bardziej zrozumieć los uchodźców i opowiedzieć ich historie; robię filmy. Niepotrzebnie się tłumaczę, rozmowa toczy się miło, tak, nie ma problemu – mogę ich filmować. Teraz mieszkają w obozie E1, ale udało im się zapisać do programu EASO i liczą na to, że będą mogli przedostać się do innego kraju. Są zmęczeni, warunki w obozie są złe, nie ma się gdzie myć. Pojechali zobaczyć czy nie lepiej będzie w Idomeni, na granicy grecko-macedońskiej, ale szybko wrócili, bo sytuacja okazała się jeszcze gorsza – poza brakiem sanitariatów – błoto i izolacja.

Po wyjściu z pociągu robimy zakupy w piekarni i wchodzimy na teren nabrzeża portowego. Pireus jest jednym z największych europejskich portów, więc długo idziemy mijając po drodze kolejne terminale. Infrastruktura obsługi pasażerów została zajęta przez uchodźców. Wszędzie namioty, największe ich skupiska znajdują się wokół budynków. Widać, że pożądane są też lokalizacje pod zadaszeniem, np. w wiatach przystankowych. Niektórzy koczują w otwartych przestrzeniach poczekalni, na podłodze, przy małych kupkach swojego dobytku, który składa się głównie z koców. Wszędzie jest też pełno ludzi, ale nie rozumiem sensów scen, które widzę. Nie rozumiem zasad tej rzeczywistości. Jedynie bawiące się dzieci przystają do znanych mi znaczeń. Wyobrażenia na temat obozu nie stykają się z rzeczywistością. Przejście przez port wydaje się być podróżą przez światy równoległe. Wielkie promy wyglądają jak makiety.

Dochodzimy do terminalu E2, miejsca nazwanego na potrzeby tymczasowego życia „obozem E2”. Największy wykwit namiotów i ludzi. Siadamy na murku; im się nigdzie nie spieszy, a ja chętnie zostanę jeszcze trochę z nimi. Pewniej się czuję w pobliżu osób już trochę oswojonych. Tym bardziej, że rozmawia się nam miło, swobodnie, wszyscy mówią dobrze po angielsku. Łatwo zapominam o powodach, które sprowadziły ich tutaj – rozmowa z nimi nie drąży zbyt głębokich wyrzutów sumienia. Widać, że jakoś radzą sobie w tej sytuacji – zapisali się już do programu łączenia rodzin, mają też pieniądze na zakupy.

Pytam Ahmeda o brak ręki. Ma tak od urodzenia. Nie wiem, czy zdążyłam poczuć rozczarowanie, czy od razu jestem zawstydzona tym rozczarowaniem. Nie pytam już o przyczynę blizn na twarzy Rasha.

– Jak wygląda sytuacja w Mosulu? – próbuję się jednak czegoś dowiedzieć.

– Odkąd ISIL okupuje miasto, jest strasznie – odpowiada Ahmed.

– Na czym to polega?

– Kontrolują i ograniczają wszystkie sfery życia. Kobiety muszą chodzić całe ubrane w czarne worki do kostek, z dziurą na oczy. Kobieta sama nie może wyjść z domu – jeśli patrol złapie ją na ulicy bez opieki, to mężczyzna, który jest za nią odpowiedzialny zostanie wychłostany.

Nie znamy angielskiego słowa „chłosta”, więc gramy w kalambury.

– Jeżeli złapią kogoś z papierosem – wylicza dalej Ahmed – to albo łamią palce albo ucinają rękę. Dziewczyny – wskazuje na swoje towarzyszki – są wykształcone. Rasha skończyła zarządzanie, a Rama biologię. Ale tam nie mogą pracować.

– Mogę zarządzać swoją kuchnią! – śmieje się Rasha.

– A jak było przed ISIL? – dopytuję.

– Wcześniej było w porządku – tylko bombardowania od czasu do czasu. Ale dało się jakoś żyć. Na przykład w 2007 często bombardowali, pamiętam, że raz przez 4 dni nie wyszliśmy z piwnicy.

– Bomba rozwaliła drzwi mojego domu 2 razy – dodaje Rasha.

– No i oczywiście porwania. Ale to nic. Bombing, kidnap – no problem. Ojciec Ramy był porwany. Rodzina musiała uzbierać 10.000 dolarów, żeby go wykupić...

Zaczyna mi się kręcić w głowie od tej rozmowy, nic do siebie nie pasuje. Jej ton, swoboda, pojawiające się od czasu do czasu żarty i ogólnie panująca serdeczność, w żaden sposób nie przystają do wypowiadanych treści, chociaż z wcześniejszych spotkań z uchodźcami wiem, jak wielka jest potrzeba porzucenia za sobą strachu i przeżytych traum. Z byłego życia chce się zabrać przede wszystkim to, na czym można coś zbudować. Ahmed opowiada o swojej przerwanej przez Deash karierze sportowca. Przez lata trenował w Iraku w reprezentacji osób niepełnosprawnych. Pokazuje mi w telefonie zdjęcia z mistrzostw w Dubaju. Od 2 lat – odkąd w mieście pojawiło się ISIL – sport jest zabroniony. Ma nadzieję, że w Europie będzie mógł dalej trenować.

– To, co się dzieje teraz w Mosulu to koszmar. Znikąd nie widać nadziei. W Iraku walczą różne siły, ale wszystkie we własnym interesie i nie ma co liczyć na to, że zwykłym ludziom będzie kiedyś lepiej. Najgorsze jednak jest ISIL. Przez nich nawet tutaj nie czujemy się bezpiecznie. Gdybym na fejsbuku napisał chociaż słowo krytyki, to moi bliscy, którzy tam zostali byłiby w niebezpieczeństwie, publicznie nie używam tego słowa – ISIL.

– Czyli nie mogę pokazać w filmie tego, o czym opowiadacie? – pytam.

– Nie.

Z ulgą przyjmuję propozycję Rashy, że przejdzie się ze mną na spacer po „obozie”. Tylko co ja mam zrobić z kamerą, jeżeli pokazanie czyjegoś wizerunku w filmie może oznaczać dla kogoś niebezpieczeństwo? Nie pierwszy raz zastanawiam się nad tym problemem, spotykałam się z uchodźcami na tzw. szlaku bałkańskim i już wcześniej wiedziałam, że filmowaniem można komuś zaszkodzić, jednak podczas tej rozmowy nabrało to bliższego znaczenia. Niestety, teraz nie mogę rozproszyć tego dylematu nalewaniem i rozdawaniem gorącej herbaty.

Onieśmiela mnie też świadomość, że wchodzę do czyjegoś domu bez zaproszenia gospodarzy. Wkraczam w przestrzeń aktów, które w normalnych domach schowane są przed widokiem obcych. Dla ponad 5 tysięcy ludzi to miejsce jest teraz domem. Za sobą mają zgłiszczą, a przed sobą gasnącą nadzieję. W tej chwili zawieszeni są w tymczasowości, której granic nie obejmuje horyzont. Jedynym pulsującym punktem przyszłości jest przeprowadzka do innego tymczasowego obozu w Grecji, bo wkrótce zaczyna się sezon turystyczny i zapewne władze będą chciały usunąć ich z widoku.

Skrępowana macham kamerą spod łokcia, w obiektywie ludzkie sylwetki uciekają od ostrości, a ich gesty nie nabierają wyraźnych znaczeń. Granice znajomości świata rozpływają się; port, z którego się nigdzie nie wypływa, bombardowania, które nie są problemem...

Trzy tygodnie później wracam do Polski, do domu. Ostatniego wieczoru przed powrotem, przychodzę do portu pożegnać się z paroma rodzinami Kurdów z Syrii, z którymi w międzyczasie zdarzyło mi się zaprzyjaźnić.

Do Jousefa chwilę wcześniej zadzwonił kolega i powiedział mu, że nastąpiło nowe międzynarodowe porozumienie, według którego osoby, które dotarły do Grecji przed 18 marca – czyli przed podpisaniem porozumienia UE z Turcją – będą miały szansę przedostać się wгłąb Europy. Dobra nowina obejmuje wszystkich

moich nowych przyjaciół. Zapewne oznacza to wielomiesięczne oczekiwanie i życie w prowizorycznych obozach, bez możliwości pracy, bez pieniędzy, jednak pojawia się nadzieja na pomyślne zakończenie tułaczki. Może to tylko plotka, ale czepiamy się jej, potrzebny jest chociaż na chwilę powód do radości.

Nastrój podczas spotkania jest bardzo wesoły: śpiewy, tańce, żarty, śmiechy. Mały przedsionek z koca pomiędzy 3 namiotami mieści kilkanaście ściśniętych osób, ja w środku z kamerą, kucam na stopach różnych osób. Nie przeszkadza, że nie rozumiem ich języka, radość jest komunikatem uniwersalnym i wystarczającym. Czasami wyłapuję słowa – Alemania, Merkel i kontekst rozmowy, żartu – snują plany na przyszłość. Słowa te słyszę też w piosenkach śpiewanych przez Jousefa – wymyśla je na bieżąco, ale brzmią tak jakby przywiózł je ze sobą z gór. Kurdyjska kultura jest stara, ale wciąż żywotna – twórczość daje upust bieżącym emocjom. Lori lori – pieśń, którą słyszałam już wiele razy – uwodzi opowieścią o cierpieniu ludzi uciekających ze swojego kraju; powstała w ostatnich latach. Jestem pod wrażeniem atmosfery tego wieczoru, twórczej radości, wspólnej zabawy, umiejętności bycia razem bez osławiania się alkoholem.

Chociaż zdaję sobie sprawę, że ich historie mogą się różnie skończyć, to cieszę się, że żegnamy się w optymistycznych nastrojach, wolę zapamiętać ich uśmiechniętych i z nadzieją.

Proszę ich o podpisanie zgody na udział w filmie. Na formularzu zgody w rubryce „adres” wpisują: Ateny, Pireus, Brama E1.

Autorstwo: Anna Domańska

Źródło: MediumPubliczne.pl